

TYGODNIK SŁOWA POLSKIEGO

BEZPŁATNY DODATEK NIEDZIELNY DO „SŁOWA POLSKIEGO“ POŚWIĘCONY NAUCE LITERATURZE I SZTUCE
POD REDAKCYĄ JANA KASPROWICZA.

GERHART HAUPTMANN.

Z dramatu: „Biedny Henryk“.

SCENY AKTU PIĘW SZEGO.

GOTFRYD (zmiata liście z kamiennego stołu).
OTTAKER (pachołek w zbroi, lat około czterdziestu, gotów do wsiadania na koń, wchodzi po cichu do ogrodu, starając się jaknajmniej czynić hałas ostrogami i szyszakiem; zobaczywszy Gotfryda, staje zmieszany, błąda jego twarz, czarną okolona brodą, mieni się wskutek zaambarasowania.)

GOTFRYD. Pochwalon Jezus Chrystus.
OTTAKER. Na wiek wieków.
GOTFRYD. A dokądże wy tak wczesną godziną?
OTTAKER. Ot! przejechać się, albo i na łowy —
GOTFRYD. A pan się bez was obędzie... co?..
OTTAKER (drapie się w głowę zaambarasowany).

Z biedą —
A zresztą — może... Wiecie — mam zlecenie...
Pomyślcie tylko o... to niby znaczy,
jeśli Bóg zechce i jakoś się uda,
ba — a i wówczas, choćby i najgorzej
miało się wszystko stać, to juście wrócę —
jednak...

GOTFRYD. Ja waści wcale nie rozumiem —
Czyżby się komu z waszych miało zdarzyć
jakie nieszczęście?

OTTAKER. Szal szal! Nie inaczej —
muszę pojechać.. matka — a i siostra —
tak — trudna rada... Pojmiecie. A zresztą
zmierzę się z dyablem! Gdybyć jeszcze żyli
ci, com ich ubił w krainie pogańskiej,
łatwo by mogli to poświadczyć...

GOTFRYD. Cóż to
z wami się dzieje? Czyście chorzy — mówcie!

OTTAKER. Nie! Chroń nas Boże od wszelkiej zarazy,
od złych upławów i grzesznych zakazań.
Jeszcze-cię zdrowy i w krwi swojej czysty,
i mam nadzieję, że takim zostanę.
Świat ten zepsuty i pełen szatanów,
ale mą tarczą i opieką Chrystus.
Krwiań niejednego Turczyzna kupiłem
odpust dla siebie — niejedną szmacinę
rzuciłem klechom, a zasię me piersi
chroni kawałek krzyżowego drzewa
ze Ziemi Świętej: ale jakaś groza
przychodzi na mnie — tak! — muszę odjechać —
jakieś złe znaki widziałem dziś we śnie —
a człek śmiertelny strzeże swego skórska.

(Odechodzi).

GOTFRYD (patrzac za odchodzącym).

Prze Bóg! Srokosza wyprowadza z stajni —
już go i dosiadł i już — w cwał pogonił.

(Z domu wychodzi Brygita, a za nią Ottegeba. Brygita, poważna, nie bardzo po chłopsku wyglądająca matrona, Ottegeba zaś, to blade, bezkrwiste dziecko, prawie dziewica o wielkich, ciemnych oczach, popielatych włosach z czerwono- i żółto-żółtymi połyskami.
Matka i córka niosą bieliznę stołową i naczynia.)

BRYGITA. Gdzież ja mam nakryć dla Jego Miłości?
Gotfrydzie!.. Słuchaj!..

GOTFRYD (budząc się z zadumy).

Co? czyś mnie wołała?

BRYGITA. Juści, wołałam: piwo już zagrzane,
ryba gotowa, śmietana ubita...
Gdzieżby to nakryć dla Jego Miłości?..

GOTFRYD (wskazując na stół kamienny).
O — tu jest miejsce od pradawnych czasów...
Prawda, dziecino? — tu rad on siadywał?..

OTTEGEBEBA. Tak, ojeze... warto może trochę miodu...
Miałeś natopić..

GOTFRYD (zdziwiony). Któż ci to we włosy
wplótł tę wstążeczkę?..

OTTEGEBEBA. Wstążeczkę?..

GOTFRYD. Tak, dziecko —
tę — ot! — czerwoną wstążeczkę...

OLLEGEBA (zarumieniona, zmieszana):

Gdzie, ojeze!?

GOTFRYD (niecierpliwie):

W włosach...!..?

OTTEGEBEBA (milozy).

BRYGITA. A widział! czym ci nie mówiła,
że się na ciebie zgniewa, gdy to ujrzy!?

OTTEGEBEBA (blednie, walczy z płaczem, zrywa wstążeczkę z włosów, rzuca ją na ziemię i ucieka).

BRYGITA. Cheiała tem uzcioć Jego Miłość... Teraz
wstydzi się tego.

GOTFRYD. Uważaj na dziecko,
takie natręctwo może mu się sprzykrzyć.
To już nie chłopiec, jak wówczas — przed laty,
kiedy się lubił bawić z nią — z dziewczynką...

BRYGITA. Niewesołego, zda mi się, umysłu
nasz miłościwy...

GOTFRYD. Nie wiem. Kto go wczoraj
widział o świecie, jak jeźdźcom, zebrany
na łów, wskazywał rękojeścią szabli,
z uśmiechem w oczach, na naszą sadybę
i jak ich potem żegnał przewesoło,
mógł był pomyśleć sobie, że wspaniały,
szlachetny młodzian wzdryć nie wie, co znaczy
choćby cień troski. Za to-m dziś zobaczył
męża, któremu nie znał...

BRYGITA. Mnieć to dziwno,
że o tym czasie przybył w ten zapadły
kąć nasz, — mówiono przecie, że się żeni...
GOTFRYD. Wielcy tej ziemi mają swe humory.
Co nam do tego.

BRYGITA. Jużci... Tylko, widzisz,
wczorajszej nocy przebrał nieco miarę
jego pacholek i między czeladzią
tajemnem słowem dziwne stroił żarty
i o Mojżesza rozprawiał zakonie,
według którego myją chore domy,
by je uzdrowić od jadu i trądu.

GOTFRYD. Któż to ci mówił?

BRYGITA. Nasza Ottegeba.

GOTFRYD. Słuchaj, Brygito, zamknij uszy swoje
dla wstrętnych plotek. Pan nasz miłościwy
w wielkich dotychczas łaskach i honorach,
sługa cesarza, a zatem nie bardzo
przez Piotrowego lubian namiestnika —
klechy zakonne roznoszą po ludziach
przeróżne kłamstwa, a niema tak płaskich,
by u motłochu nie znalazły wiary.

BRYGITA. Zda mi się, idzie aleją olchową.

GOTFRYD. On...

BRYGITA. Pochylony idzie, nie jak zwykle.

GOTFRYD. Nie wpatruj się tak — może-ć to wziął
za złe.

BRYGITA. O! spójrz! — jak wryty, w zorzę wlepił oczy.

GOTFRYD. On... Ja się teraz oddalę; a ty go

poproś do stołu, wielec obyczajnie,
lecz krótko, potem zwolnij się i odejdz.

BRYGITA. Nie trószoz się, stary.

(Henryk von Aue wchodzi powoli i zamyślony; po-
stać to wspaniała, rycerska; włosy spadające w swo-
bodnych kędziarach, broda rudawa, ścięta w skos;
wielkie, błękitne, niespokojne oczy w bładem nieco
obliczu).

BRYGITA. Bóg z Waszą Miłością.

HENRYK (podnosi ku niej oczy, zdaje się, jakby
ją dopiero teraz zauważył, mówi prędko i od nie-
chcenia):

Bóg z Wami, matko.

BRYGITA. Stół Waszej Miłości...

Mało-ć jest na nim — tyle, co dać może
nasz kąć zapadły.

HENRYK. Zda się, wczoraj wieczór
słyszałem dzwonki mułów na folwarku.

BRYGITA. Nie, Wasza Miłość...

HENRYK. Nie? tak o północy?

BRYGITA (potrzęsając głową).

HENRYK. Szkoda, otukno mi do moich książek.

BRYGITA. Czy Wasza Miłość ma jakie życzenie?

HENRYK. O tak... niejedno!

BRYGITA. Takie, które zdołam
spełnić?

HENRYK. Brygito, które spełnić zdołasz?

Niel.. może później — zobaczymy — tak! — może...
dobrze... dziękuję...

BRYGITA. Obyć smakowało!...

HENRYK (sam, kładzie dłoń na pień wiązu, spogląda
ku jego koronie i mówi do siebie z tłumionem wzru-
szeniem):

W koronie jeszcze stoi wiąz, i jakby
ulany z spizu, strzela nieruchomie
w chłodne powietrze jasnego poranku;

bliskiego mrozu ostre, srebrne technienia
już może jutro obedną go z liści —
on się nie ruszy; — wszystko, na czem tylko
spocznie twe oko, zdaje się w pokorze
na wolę Stwórcy — wyjąwszy człowieka,
tak, tak, — wyjąwszy mnie!.. O wróć, spokoju!
Wszak niedalekość... Na cichych, zielonych
leżysz murawach, tchyl tve zawiewają
ku moim skroniom od ciemnego runa
jodeł — od czarnych, snąc odwiecznych jodeł
meo dzieciństwa... tak, w dziedzinie mojej,
śród gór tych moich i ty przemieszkujeś —
przeto mi bratem bądź i przyjacielem!

GOTFRYD (zjawia się we drzwiach swego domu).

Witamy u nas Waszą Miłość, panie —

HENRYK. Dzień dobry, stary.

GOTFRYD. Lepszegom nie zasnął

w całym mem życiu, niżli ten, o panie!

Wszakże na pierwszym spotyka się kroku
z najmilszym gościem i mym godnym panem.

Lecz Wasza Miłość wielec nas zawstydza,
a przedsię, panie, mnie — bo jużci przy Was
tom-ci-ja śpiochem i złym gospodarzem.

HENRYK (zaczyna śniadać).

Nie troszcz się o mnie, przyjacielu! — Usiądź,

umiałem sypiać wśród najdzikszej wrzawy —
w obozie, w polu, na dworach książęcych,

gdzie dzień i nocą skrzypiały w zawiasach
wrótne zamkowe... przy tęćcie kopyt,

przy knechtów krzykach jak pień takem leżał
i spał... Tu cisza, a przecież w tej ciszy

głośno obzywa się me wnętrze... Widzisz —
gdy tam, na łąki i na trzęsawiska

księżyc rozlewa swe umarłe światło
i gdy z nim razem chyba jaki świerszczyk

czuwa pod miedzą, tutaj w mojej głowie
wciąż wre i huczy od harców rycerskich,

od zbrojnych płasów, od hasań wojennych,
obcych języków i szepców i gruchań,

których nie zdołam przemódz. —

GOTFRYD. Wasza Miłość
nie dobrze spali tej nocy?

HENRYK. Przytułkiem
jest sen, a gorze tym, co bez przytułku!
Zaliż nie prawda?...

GOTFRYD. Prawda mocna, panie.

HENRYK.

Nie! nie! bez żartów: od dawnych już czasów
przyzwyczajenie wypędza mnie z łoża
zwykle przed świtem, często o północy...

A jeśli tutaj doświadczycie tego,
proszę, niech was to nie dziwi, przebacze!

GOTFRYD. Waszej Miłości dom ten, gdzie mieszkamy
i Waszym grunt ten, na którym on stoi —
czyż przeto godzi się mówić: przebaczeie —
raczej was zbudźcie, gdy czuwać raczyeie.

HENRYK. Śpijcie w spokoju — wy, co na ten spokój
zasłużyliście dnia przeciężkim znojem.

Na co wam moje ezuwanie? Dziękuję!

Z wdzięcznością dzisiaj poznaję znów w tobie,
com jako chłopiec dobrze znał — twe serce!

Alem nie przyszedł, aby kraść to serce
ani rabować jego ustroń złotą —
proszę cię tylko, stary, racz pozwolić,
bym przy ognisku twojem mógł zostawać
sam-li ze sobą.

GOTFRYD (po chwili milczenia). Może Wasza Miłość chce, abym odszedł!

HENRYK.

Siadaj!

Źle tłumaczysz, com ci powiedział. Chodź tu! Jest mi błogo na twoje siwe znów poglądać włosy i znów, po tylu, tylu długich latach — słyszeć ten miły, luby głos ojcowski. Nie troszoz się o to, jeśli ci się wydają człowiekiem obeym — na lichym zagonie, który uprawiasz: tak, jam się powłoszczył, przecież za uścisk — jeśli mi go twoja dłoń nie poskąpi — niemieśka uściskiem zapłaci ręka.

GOTFRYD (chce na klęczkach obiema rękami chwycić prawicę Henryka, którą ten gwałtownym cofa ruchem).

Co? tyś się powłoszczył, panie mój miły? Brońże słodki Chryste! Jeśli nie Wyście wzorem niemieckiego dziś obyczaju, zwierciadłem niemieckiej cnoty rycerskiej, to gdzież nam się godzi w krajach niemieckich szukać dziś dworskości, męstwa i dumy i tej niewzruszonej naszej wierności?

Was mi zwał niemieckim, Was zwał mi czystym. jak czystą zostanie ta wzrosła z czystej krwi niemieckiej jodła. Zreniczone gwiazdy namiestnika Rzymu nie płoną jaśniej od waszych i Frydryk z niemniejszą dumą stałby ponad lnianą przędzą tej Waszej głowy, niż nad jego.

HENRYK (pochmurniawszy).

Ha... to być może! brylant, jak powiadasz, będzie brylantem, choćby nawet Lazarz nosił tę obręcz, śród której on płonie.

(Prędko odbiega od tego).

Dać cesarzowi co jest cesarskiego! Lecz dosyć na temu... Usiądź, opowiadaj o innych sprawach. O tem, co tam gładce kogut z kurami pomiędzy stodolą i stajnią — dla mnie słodsza to biesiada, niżeli pienia królewskie Waltera. Ile masz koni? krów? czy się odplaca ten łąn za ciężki twój mózół? Opowiedz! Jakieś miał żniwa? jakieś zebrał ziarna, owoce, wino? to, widzisz, są wieście, których dziś łąknę: Stary — o Turczyźnie, o chrześcijaństwie, Gwelfach, Ghibelinach i namiestniku rzymskim ty mi nie mów...

GOTFRYD. Nieobyczajną wzdryć jest moja mowa — sam ci to widzę. Lecz gdy Was niegodna, proszę też bardzo — niechże Wasza Łaska raczy rozważyć, czy chodząc w tem kole powszednich zajęć, mogłem się zaprawić w dworski obyczaj?

HENRYK. Tam, ten kraj najwyższy, gdzie się uprawny zagon styka z lasem — czyż to nie pola wyki?

GOTFRYD. Tak jest, panie!

HENRYK.

Gdyśmy się wczoraj — ja wraz z mym konikiem — spuszczała na dół tuż przy owym skraju, słyszałem oiehe „Zdrowaś bądź Maryja, nuczone chórem przez głosy dziecięce, a równocześnie ujrzał nieopodal,

śród zwału głazów, maleńki pożarek.

Pozostawiwszy konia, zbliżyłem się ostrożnie k' miejscu — i oto com spostrzegł: gromadkę chłopców spostrzegłem i dziewczęt, jak się sprawiali naokoło ognia — wydało mi się to wszystko czarownem jakimś widziadłem. I mówię: a cóż to, moje panięta małe, tak prażycie, eo gotujecie tak po oiemku? Naraz, ledwiem to wyrzekł — zgrajka się rozpierzchła — przy ogniu tylko została dziewczeczka, wyprostowana, niepewna, mileżąca, spoglądająca mi w oczy. Ty — pytam — takeś nuciała? Lecz ona mileżała.

GOTFRYD. Wybaczcie dziecku miłościwy panie — To była córka moja, Ottegeba, dziwne stworzątko, które mnie i matce bezsensną noc już sprawiło niejedną.

HENRYK. Dziwne stworzątko... masz słuszność!..

GOTFRYD.

I, panie, Wyście ją znali, na koń ją braliście nie po raz jeden — o, za dawnych czasów — bo choć już wtedy lubiła się ploszyć, jak ta przepiórka, gnieżdżąc się w życie, Wy ją umieli wywabić i przy Was swojsko jej było od razu.

HENRYK.

Tak!.. Wówczas — Wówczas — pamiętam dobrze, gdym wieczorem z wesołych wracał łowów, przemęczony, jednak rozbawion, zawsze ta dziewica pierwsza mi w oko wpadała — radościem witał ją wówczas jako moją żonkę. Tak! wówczas! wówczas! jak mi biło serce, jakie mi muszki lataty po głowie — Wiem! wiem!.. A teraz takem się oddalił od owej chwili promiennej młodości, że Ottegeba, moja żonka drobna, kiedym ją ujrzał, tak mi była obcą, jakby jej nigdy nie liżała twarzy i małych rączek Diana, ma suczka, jakbym ja nigdy nie gładził jej włosów, jakbym jej nigdy dla miłej rozrywki nie grał na rogu piosenek myśliwskich, jakem to przecież czynił nie raz jeden!..

(Dok. nast.)

PRZEŁ. JAN KASPROWICZ.

EDMUNT ZECHENTER.

DZIEŃ Z ŻYCIA.

SZKIC OD RĘKI.

(1.) ...No, jestem dzisiaj, jak granat przed eksplozją. Takie szalone rozdrażnienie miota się we mnie, pracuję gwałtownie na zewnątrz, że omal z własnej skóry mnie nie wysadzi. Obawiam się też nie na żarty wybuchu, który, jeżeliby nastąpił wobec obcych, byłby niedorzecznym szaleństwem, jeżeli wobec Irene — niegodziwością.

Właściwie wszystkiemu winien redaktor. Prawda, że raz wspominałem mu, iż pracuję nad nową rzeczą i nie wiele brak już do końca. Ale po eo u licha dotąd mnie nudził i męczył, dopóki nie przyniosłem niedokończonego rękopisu i po eo wbrew

mej woli zaraz zaczął drukować? Ma też teraz za swoje. Ja ostatniego rozdziału, chociaż tłoczy mi mózg, jak kamień młyński, napisać nie mogę, no, nie mogę, a on jak przed dwoma tygodniami piętnasty fejteton zakończył szczęśliwie na „c. d. n.“ i zaczął w odcinku zamieszczać co innego, tak też jest do dzisiaj.

Bo ja nie zdołam tego dokończyć. Przez krótkotrwałą, lecz niebezpieczną słabość Ireny, która bardzo mną wstrząsnęła, tak się wykoleiłem z drogi dalszej pracy, że teraz mam ciągle poczucie, iż jej nie dokończę pomimo największych wysiłków, lub może właśnie z powodu nich...

— Przynosi kolega już dzisiaj ostatni rozdział? — wita mnie teraz co rano stary w redakcyi.

Potrząsam przecząco głową, on załamuje ręce, woła, że to skandal, że otrzymał już kilka listów od czytelników, upominających się o ciąg dalszy, że popusują sobie zdobyte już imię — i tym podobne wyrabia gwałty.

Dzisiaj, ni stąd ni zowąd, wita mnie z radośnym uniesieniem.

— Nareszcie! nareszcie! Widzę po koledze, żeś przyniósł dokończenie. Zapewne pracowałeś długo w nocy, boś jakiś mizerny i widocznie znużony...

W odpowiedzi rozkładam ręce, wzruszam ramionami, zabieram plik gazet i siadam przy swoim stoliku. Z jaką on tam życzliwością na mnie spojrział, nie widziałem i doprawdy, nie byłem ciekaw. Słyszałem tylko, że sapał przez chwilę, potem mruknął: „Przekłeta historia!“ — a potem się wyniósł.

Jednak stary miał słuszość. Istotnie pracowałem i byłem zmęczony. Lecz nadarmo. Czułem, wiedziałem, zasiadając wczoraj po herbacie do pracy, że ona nie doprowadzi do niczego. Moje biurko odpychało mnie bardziej, niż kiedykolwiek. Bo ono ma dla mnie swoją wymowę: bywa odpychające lub przyjazne... Takie dziwy wyrabia z człowiekiem kochane zdenerwowanie... Ja, przecie nie od wczoraj dziennikarz, który potrafię pisać na każdym miejscu i o każdej porze, kiedy do twórczej pracy się zabieram, mimo dogodnych w domu warunków, krążę często zdala od swego biurka, bojąc się go, jak narzędzia męczarni. I nie weźmiesz pióra do ręki, aż wszystko, co ma powstać, nie zacznie na kształt fali wezbranej przepływać mi wskrósł duszy, porywać mnie, ponosić, tak, że ledwie zdążam spisywać to, co widzę, słyszę, wśród czego tkwią całą istotą przez czas tworzenia.

Wczoraj byłem tak udręczony, jak może nigdy. Postanowiłem przymusić się i bądź co bądź rzecz doprowadzić do końca. Nelitościwemu krytykowi, który siedzi we mnie, kazałem milczeć — i jakiż rezultat? Pisałem do drugiej w nocy i zapelniałem kilkanaście kartek, godnych pióra wielce szanownej pani Szarzyńskiej lub pana Dobrosza, o których pewien wybitny krytyk raz arcy-trafnie się wyraził, że ich powieściom właściwie nie ma do zarzucenia — lub wszystko. Nie są to bowiem rzeczy złe, ale są mierne.

Podarłem pisaninę z wściekłością. Jeżeli kiedy w łeb sobie palnę, to pewnie w takim usposobieniu.

...Nie, to nie były uczucia zbrodniarza, który, unikając ciągle ręki sprawiedliwości, po wielu latach znalazł się w mieście, gdzie spędził młodość. Wszystko wyszło błado, słabo; nie oddałem tego spotkania się obecnej jego duszy z tamtą, naiwną i czystą,

tej tęsknoty za przeszłością, tego spojrzenia w głąb własnej istoty, spojrzenia jakby poza siebie, na długą drogę, którą się przebyło. Nastrój był sztuczny, robiony, literacki, mój bohater papierową postacią. W tak przedstawionym stanie duszy nie mogło obudzić się w tym rzeczywistym dotąd człowieku poczucie nieznośnego ciężaru, nie mogło wezbrać nieprzewyciężone pragnienie ulżenia sobie przez dobrowolne oddanie się w ręce karzącej władzy...

* * *

Około pierwszej wychodzę na obiad i nie uszedłszy może stu kroków wpadam na kochanego wujaszka, z którym, dzięki Bogu, już od pięciu lat się nie widziałem. Ta sama fizygnomia szeroka, rozlana, te same niebieskie okulary i ta sama „ojcowska“ życzliwość.

— Ach to ty, Jasiu! Taż ja już, wystaw sobie, wieki cię nie widziałem! Jakże mi się miewasz?

— Dziękuję, jak zwykle, nieźle. A cóż wuj robi w naszym mieście?

— To nic nie wiesz? Jestem emerytem! Przedwczoraj właśnie sprowadziliśmy się. Wysłużyłem uczciwie czterdzieści dwa lat, a teraz, stary Einemer, będę tu sobie w spokoju oczekiwał śmierci. Zeszłego roku wydaliliśmy Manię...

— Tak?

— Jakto? i o tem nie wiesz? Wystaw sobie, zrobiła bardzo dobry los: poszła za adyunkta, ale nie z mojej branży, nie za podatkowego, tylko sądowego! To ryba, ho, ho! Już tak, jakby miał złoty kołnierz! Gdy tylko zaczął u nas bywać, informowałem się o nim dokładnie w przyzdyum, czy to zdolny człowiek, czy ma karierę przed sobą — i bardzo mi go chwalono. Bestya, będzie walił prosto na szóstą rangę, a może i do hofratostwa dojedzie! Po oświadczeniach skłoniłem go, żeby się zaasekurował na życie, bo przypadki chodzą po ludziach, — i dopiero, gdy mi polieć pokazał, daliśmy nasze rodzicielskie zezwolenie i błogosławieństwo. Tak, tak, mój drogi, u nas nie brak rachuby, bez zastanowienia...

— Bardzo się cieszę, że wujostwo córkę wydalili... bardzo się cieszę...

Nie wiedziałem, co z nim mówić. Nie żyłem z tak zwaną familią, nie interesowałem się nimi wszystkimi, zajęty swoją pracą i nie mogąc w ogóle żyć z tymi ludźmi. Oni natomiast nie przestali ani na chwilę mną się zajmować — i wuj „Einemer“, i stryj radaś skarbowy, i drugi stryj, nadleśniczy w Żabiej Polance. Chociaż niczego od nich nigdy nie żądałem i trzydziestka mi już minęła, wobec śmierci moich rodziców narzucają mi się ciągle na jakieś „naturalnych“ opiekunów. Zasypywali mnie listami, pełnymi bajecznie ojcowskich rad, gdy zaczął pisywać; odradzali puszczanie się na taki „lekki chleb“ bez przyszłości; bombardowali listami i gorszyli się, gdy się trzy lata temu ożenił (oczywiście znowu wbrew ich „woli“ i zapatrywaniom) — słowem, ciągle mieli do mnie jakieś pretensye, choć ja od nich niczego nie chciałem, tylko, aby mi dali pokój.

— No, i cóż ty porabiasz? — zapytał wuj, zająwszy swą okazałą figurą cały chodnik i patrząc mi bystro w oczy z nad niebieskich okularów.

Doprawdy, byłem w ambarasie. Bo co na to odpowiedzieć?!

— Pracuję, jak zwykle — bąknąłem.

— Ciągłe przy tej gazecie? I ciągle pisujesz te twoje literackie kawałki?

Ostatnim słowom towarzyszyło pełne politowania wzruszenie ramion.

Już mi było tego za wiele.

— Przepraszam — rzekłem z lodowatą uprzejmością — ale mi bardzo pilno... Może wuj pójdzie trochę w moją stronę...

— O, co to, to nie... Gdzieżbym ci ja, stary, nadażył!... Ale bój się Boga chłopcze, co ty wyrabiasz! Jestem bratem twojej matki i mogę powiedzieć, że w jej imieniu chcę ci dać dobrą radę. Weź ty Boga na pomoc i puść raz w trąbę te głupstwa... To lekki chleb — fu, fu — przyszłości żadnej! Przecież ty, wystaw sobie, jesteś prawie skończonym jurystą, bo tylko ci brakuje jednego egzaminu...

— A skąd-że o tem wuj wie tak dokładnie?

— Ja wszystko wiem, mój drogi, co się moich bliskich tyczy. Ale co to chciałem powiedzieć? Aha! wystaw sobie, w skarbowości teraz wielki awans się otwiera... Zdaj ty ten egzamin, masz dobrą głowę, pójdzie ci łatwo — i rzuć się do skarbowości! Zaklinam cię, zrób tak! Za parę lat będziesz komisarzem, półtora tysiąca guldenów pensyi, awans zapewniony, potem emerytura... Bo trzeba, mój drogi, pomyśleć seryo o przyszłości... Broń Boże choroby na ciebie — to coś ty poczniesz? Mój Guccio, co prawda, nie ma tych wysokich nauk, co ty, bo za granicą byłeś na studyach, ale jest sobie dzisiaj oficyałem pocztowym, ożenił się z Burkiewiczówną, wziął dziesięć tysięcy na rękę — i psu drogi nie pokaże! Staremu Burkiewiczowi piekarnia idzie, że prosię siadać, a druga córka, wystaw sobie, gaśnie na suchoty. Starzy także nie wieczeni — więc cały majątek któż kiedyś dostanie, jeśli nie Guccio? A jak on umie koło nich chodzić! Co to za frant! No, już cię nie zatrzymuję, bywaj zdrow, lecz pamiętaj o mojej radzie... Nic, tylko od razu do skarbowości... Podziękujesz mi jeszcze... Ale, ale, mieszkamy: Jasna, 25. Spodziewam się, że wpadniesz kiedy do nas...

Jak dyabeł z święconej wody, wyrwałem się z uścisków tego hipopotama, O radach i naukach, zresztą godnych ciebie, praktyku nad praktykami, mogę zapomnieć — ale za to zupełne zignorowanie Irenki zerwę te ostatnią nić oficyalnej znajomości, jaka nas łączy. „Spodziewam się, że wpadniesz kiedy do nas“ — paradny sobie! Irenka, dla tego, że nie jeździła kolejno do nich wszystkich z hołdem i pokłonem, że posiada niepospolitą urodę, talent i inteligencyę, nie jest godną przestąpienia progów pana „Einemera“, nie raczą jej znać!

Dość mam już tego. Niechaj mówią o mnie, co chcą, niechaj poborca, radca skarbowy, mądry Guccio, nadskakujący państwu Burkiewiczom i asekurowany adyunkt, wymienia między sobą piorunujące noty; niechaj wszystkie panie na pierwszej familijnej kawie wydadzą na mnie wyrok śmierci — wszystko mi jedno. Trzeba już raz dać temu kropkę. To ludzkie z innej gliny, to antypody — po coś sobie z ich powodu zgryzot przysparzać? Zresztą, niech mnie do licha nie nudzą!

W domu oczekiwał mnie list od Władka. Pożyczywi, pisuje dość często. Bardzo lubię jego listy. Lekarz z zawodu, zajmuje się jednak literaturą i zbiera dla mnie notatki, z których kilka razy korzystałem.

Rozrywam kopertę. Masz tobie! I ten zapytuje, czemu nie kończę mego szkicu. Obawia się, czym nie chory i prosi o odwrotną odpowiedź. Wie, że bardzo poważnie traktuję pracę twórczą i wiele sił w nią wkładam. Nie pomylił się: chory jestem... Anemia mózgu, ha, ha!..

„Erynie“ bardzo mu się podobają. „Psychologia subtelna i głęboka, wyborne odczucie natury“ — same superlatywy!.. Przesadza! Przyjaźń przez niego przemawia. Swoją drogą wiem, że „Erynie“, to rzecz udatna, ale coś z tego, kiedy brakło mi siły do ostatniego rozdziału, który miał być koroną kompozycyi...

JULIUSZ TENNER.

O SZTUCE CZYTANIA

JAKO CZYNNIKU WYCHOWANIA PUBLICZNEGO.*)

(I.) Obok znaczenia i zastosowania, jakie sztuka czytania posiada w tylu gałęziach życia praktycznego, dla wymowy i krasomówstwa politycznego, sądowego, pedagogicznego i kaznodziejskiego, pielęgnowanie żywego słowa ma jeszcze znaczenie ogólniejsze, znaczenie wybitnie narodowe i społeczne.

Wielki uczyony niemiecki Wilhelm von Humboldt w znakomitem swem dziele: „Ueber die Verschiedenheit des menschlichen Sprachbaues und ihren Einfluss auf die geistige Entwicklung des Menschengeschlechtes“ tak się o tem wyraża:

„Osobliwość ducha i kształtowanie mowy każdego narodu tak są ściśle ze sobą związane, że gdyby jedno z nich było dane, możnaby drugie w całości wydedukować z niego. Mowa jest niejako zewnętrznem objawieniem ducha narodów; mowa jest duchem narodu, a duch narodu jest jego mową; to dwa na wskrzsł identyczne pojęcia.

Mowa we właściwej swej istocie pojęta, jest czemś bezustannie i w każdej chwili przemijającym. Nawet utrzymanie jej w piśmie jest niezupełnem tylko, do mumii podobnem, zachowaniem, które wymaga umysłowania przez żywe słowo. Mowa więc sama nie jest dziełem (ergon), ale czynnością (energeia).“

Jeśli więc mowa, w objawieniu swem dźwiękowym identyfikuje się z duchem narodu, to jawną jest rzeczą, że pielęgnowanie żywego słowa jest zarazem pielęgnowaniem ducha narodu.

Wiele, bardzo wiele, zaniedbano u nas na tem polu i czas wielki, ażeby zabrać się do naprawy i tego grzechu. A grzech to podwójny. Bo nam chyba, narodowi bez samoistności politycznej z tem większą skwapliwością pielęgnować przystoi ducha narodowego, t. j. mowę ojczystą, i przodować powinniśmy w tym kierunku wszystkim kulturaym narodom. Potwóre posiadamy język, którego bogactwo dźwięków, muzyka i plastyka, stawia go na równi z najpiękniejszymi językami świata, który zasłużył na to, ażebyśmy pielęgnowali go z całą miłością i pieczołowitością, na jaką nas stać.

*) Z prelekcji wstępnej kursu „O sztuce czytania“ Powszechnych wykładów uniwersyteckich Uniwersytetu lwowskiego“.

Że to nie gotosłowne twierdzenie, że ani ja, ani ci, co to stokrotnie przedemną już wypowiedzieli, bynajmniej narodowej miłości własnej pochlebiać nie myślą, niech mi będzie wolno powtórzyć słowa takiego mistrza dźwięków językowych, jakim był Fryderyk Nietzsche. W liście pisanym w grudniu 1882 do barona von Stein, pisze Nietzsche:

„Pan czyta wiele, za wiele, a przede wszystkim czytuje Pan niemieckie książki. Nie pojmuję, jak można czytać niemieckie książki! Niemców mogą, co najwyżej, żałować, ale nie ponadto. Popatrz Pan, na moje nazwisko: pochodzę od polskich szlachciców, a matka mego dziadka była jeszcze Polką. Z tej półkrwi mojej zrobiłem sobie cnotę i pochlebiam sobie, że o sztuce języka wiem o wiele więcej, aniżeli prawdziwy Niemiec wiedzieć jest w stanie“.

Czyż może być kompetentniejsze i wymowniejsze świadectwo dla naszego języka. Ten właśnie poeta niemiecki, który jak żaden inny ośniewa czarem języka swego, wyraża się wprost pogardliwie o języku niemieckim, a o sobie samym przyznaje, że czerpał z bogatej skarbnicy języka polskiego i temu tylko zawdzięcza niezrównany koloryt swej poezji. To poczucie dźwięczności, ten szeroki rozmach okresów, to bogactwo tonów, ta niezrównana fantazja, jaką celuje język poetycki Nietzshego, tkwiły snąć dziedzicznie w duszy jego i wyróżniają utwory jego tak dalece przed innymi, że Ryszard Wagner mógł powiedzieć o nim, że nie po niemiecku pisze, ale po łacinie.

Posiadamy więc cudowny instrument, któremu uwielbienia swego nawet obce żywiły odmówić nie mogą, — czyż nie jest grzechem, że z instrumentem tym nie obchodzimy się z całą pieczołowitością, że nie dbamy o piękny jego nastrój, że nie uczymy się grać na nim, ale rozstrajamy go i psujemy nieumiejętnym rzepieleniem?

Jakżeż ten instrument dźwięczy, gdy zagra na nim wielki artysta słowa, któremu chodzi o to — jak śpiewa w „Beniowskim“ mistrz dźwięków, Słowacki:

„aby język giętki
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa;
A czasem był, jak piorun, jasny, prędko,
A czasem smutny, jako pieśń stepowa,]
A czasem, jako skarga nimfy miętki,
A czasem piękny, jak aniołów mowa;
Aby przeleciał wszystko ducha skrzydłem,
Strofa winna być taktem nie wędzidłem.

Z niej wszystko dobyć, zamglić ją tęsknotą,
Potem z niej łyskać błyskawicą cicha,
Potem w promieniach ją pokazać złotą,
Potem nadętą dawnych przodków pychę:
Potem ją utkać Arachny robotą,
Potem ulepić z błota, jak pod strychoą
Gniazdo jaskółcze przybite do drzewa,
Co w sobie stońcu wschodzącemu śpiewa“.

Tak więc pielęgnowanie ducha narodowego przez pielęgnowanie żywego słowa prowadzi nas prosto do zastosowania sztuki czytania do poezji. Zastosowanie to jest tak stare jak poezja sama. Greekie „epos“ oznacza „słowo“ z ust do ust podawane, czyli podanie; nazwa poezji lirycznej pochodzi od „liry“, instrumentu muzycznego u starożytnych Greków, przy którego wtórnie śpiewano pieśni; ścisły stosunek zaś

poezji dramatycznej z żywym słowem mówi sam za siebie. Rapsodowie u Greków starożytnych recytowali własne i obce poezyc, w pierwszych czasach przy akompaniamencie muzycznym, później bez wtóru, trzymając gałązkę oliwną w ręku. Epopeje Homera zawdzięczają nadzwyczajną swoją popularność rapsodom, którzy wygłaszali je po całym kraju. Ateny i inne miasta greckie urządziły publiczne igrzyska, na których rapsodzi popisywali się sztuką swoją, walcząc o nagrodę. W średnich wiekach prowensalscy trubadurzy i niemieccy Minesängerzy liryki swoje wygłaszali i wyśpiewywali.

Największego jednak znaczenia nabiera potęga żywego słowa w odniesieniu do poezji współczesnej.

Poezja klasyczna, rozwój epopei, najwięcej miała podobieństwa do architektury, sztuki najmniej działającej na zmysły; romantycy wnieśli do poezji przewagę pierwiastku malarskiego i plastycznego, choć najwybitniejsi z nich malowali przeważnie symbolami muzycznymi; realisci i naturalisci tworzyli przeważnie prozą, ażeby jak najwięcej i wyłącznie zbliżyć się do malarstwa. Modernisci nakoniec, których twórczość jest czysto podmiotową, którzy odtwarzają nie naturę, ale wrażenia we własnej duszy odczuwane, wnieśli do sztuki przewagę pierwiastku muzycznego.

Przewaga ta jest tak silna, że w skrajnych swych wybrykach wywołała nowy typ hermafrodytyczny, stojący między muzyką a poezją, eufonizm, zabawkę wirtuożów poetyckich, którzy myśl podporządkowują w zupełności symbolice dźwięków.

Najwybitniejszą cechą t. zw. modernizmu, czyli nowej sztuki jest związek psychicznej, uczuciowej jej treści z dźwiękową, muzyczną formą.

Charakterystyka ta jest tak zajmującą sama przez się, a tak ważną dla dalszych konsekwencji, które z niej wysnuwam, że pozwolię ją sobie poprzeć małą ankietą twórców i estetyków modernistycznych, którym udzielię głosu, ażeby własnymi słowami ten psychiczno-muzyczny charakter „Nowej sztuki“ stwierdzili. I tak pisze Novalis, jeden z najstarszych matadorów modernizmu († w r. 1801):

„Zmysł poetycki ma wiele pokrewieństwa ze zmysłem mistycznym, jest to wrażliwość na wszystko charakterystyczne, osobiste, nieznanne, tajemnicze, mające się objawić, niezbędnie — przypadkowe. Poezja przedstawia to, co się przedstawić nie daje, widzi rzeczy niewidzialne, czuje rzeczy niewyczuwalne. Zdolność poetycka jest pokrewną zdolności wieszczzenia, uczuciu religijnemu i obłędowi. Za pomocą poezji wywołujemy wewnętrzne nastroje, obrazy, wize, może tańce duchowe i t. p. Poezja jest sztuką wzruszania duszy; poezja jest wizerunkiem uczucia, obrazem świata wewnętrznego w całej jego pełni. Istnieje poezja muzyczna, która wywołuje w duszy grę różnorodnych ruchów“.

Mallarmé uważa wiersz jako „un orchestre réduit, une musique de chambre“, a Verlaine w swojej „Art poétique“ podnosi okrzyk:

„De la musique avant toute chose
De la musique encore et toujours!“ —

wyrzomości realnych kolorów zaś nie znosi, co najwyższej mgliste półtony i odcienia:

„Car nous voulons la Nuance encore,
Pas la Couleur, rien que la nuance!
Oh! la nuance seule fiancée
Le rêve au rêve et la flûte au cor!“

„My chcemy tylko odcieniowych smug
Nie barwy świetnej, nie, tylko odcienia!
Oh! mgła odcienia jedyna spromienia
Sny z marzeniami, z fletnią tęsknoty róg!“

Muzyka — powiada Charles Morice („Litterature de tout à l'heure“) umie wszystko, nawet malować; muzyka wywołuje dźwiękami krajobraz we śnie. Poezja, sztuka również dźwiękowa maluje także tylko dźwiękami, rozumie się więc samo przez się, że z muzyki dowiaduje się o jej tajnikach... Obydwie formy sztuki: słowo i nuta wspólne są w jakimś stopniu i muzyce i poezji, łącząc je razem.

Nietzsche pisząc o „żywej mowie“, o „dźwięku słów pisanych dla ucha“ powiada, że cudowny organizm dźwiękowy mowy istnieje przede wszystkim dla słuchu, a szkołą wymowy jest szkoła wyższej sztuki muzycznej. Nie zdrowszego dla języka jak styl kancelaryjny, przewaga stylu pisanego nad mową. Książkę każdą należy czytać, tak jak muzyk czyta partyturę; trzeba słyszeć to, co się okiem obejmuje. My Niemcy, powiada, nie czytamy głośno, nie czytamy dla ucha, czytamy tylko oczami; a uszy tymczasem spoczywają w szufladzie...

Muzykalność języka polega, wedle Nietzschego, przede wszystkim w rytmie i w tempie mowy: jak mowa ta nabrzmiewa i spada, utrzymuje się i popędza, z jaką się ruchliwością rozczłonkuje, jak przerywa tok swój w pauzach lub szeroko i potocznie płynie! Co najtrudniej przełożyć z jednego języka na drugi, to tempo jego stylu, które wywodzi się z charakteru rasy. Nieporozumienie co do tempa zdania, a samo zdanie nie będzie zrozumiane.

Mówiąc o kolorycie dźwiękowym zgłosek, o wzajemnym oddziaływaniu na siebie tych dźwięków, o chromatyczności mowy, stawia Nietzsche wymagania, ażeby następstwo samogłosek i spółgłosek odpowiadało sensowi i zwraca uwagę w jak subtelnych i bogatych odcieniach następstwo dźwięków łni się i mieni. Ażeby to odczuć zupełnie, potrzeba tej nadzwyczajnej wrażliwości na akustyczne wdzięki języka, jaką posiadał Nietzsche. Język jego własnych utworów wrażliwość tę najwymowniej odbija.

Edgar Allan Poe, sławny poeta amerykański, (zmarły w r. 1849), określa poezję jako „rytmiczną twórczość piękna“ (the rhythmical creation of beauty). Środkiem działania zmysłu piękna w poezji jest język. Podstawą poetyki Poe'go jest zasada, że tylko ta poezja zbliża się do doskonałości, która bądź najściślej łączy się z muzyką, bądź sama staje się muzyką.

„Mową pełną symbolów — pisze poeta czeski Otakar Brzeczina („Tajemnicze w sztuce“) — których każde słowo powraca z głębin stoma różnemi echemi jedynej odpowiedzi, — przemawia muzyką. Zbudzona dusza rzeczy przemawia w tonach; ból nabiera demonicznej wymowy w ich upojeniu“.

Postępujemy teraz dalej, co mówi Przybyszewski w swoim studjum o Szopenie: „Człowiek, który w swej twórczości jest w stanie czy to słowu, czy to dźwiękowi nadać charakter uczuciowy, a więc, że dla niego słowo nie jest symbolem, — nazwą, tylko bez-

pośrednim wyrażeniem uczucia, a z innej strony dźwięk nie jest li tylko przyjętą formą, w jakiej to lub owo uczucie się przelewa, tylko bezpośrednim odtworzeniem choćby najskrytszego przebłysku uczucia, ten jest twórcą, ten tworzy meta-słowo czyli poezję i tworzy coś ponad muzyką, to jest meta-muzykę.“

Z polskich poetów pierwszy Mickiewicz wywołał właśnie tę uczuciowość słowa, przez to, że stworzył nowe pojęcia, kojarzył najodleglejsze uczucia, by dać barwną a bezpośrednią sugestję tego, co chciał powiedzieć, przez to, że z intuitywnym geniuszem grupował i składał słowa, tak, że się stały muzyką.

To też każde jego słowo jest jakby ciepły, bijący organizm, obłany gorącą krwią, każde jego słowo to żywe serce, co się w rękę trzyma, co drży, bije, drga, albo też jak ostre dłuto, co niezatarte ślady w sercu ryje.

„Nie ulega wątpliwości, że u każdego człowieka każde wrażenie posiada przynależny oddźwięk, że cały świat odczuwamy najsilniej i najgłębiej w kształcie dźwięku, że specyficzną istotnością każdego uczucia jest dźwięk i wszystko do niego sprowadzić można, jako do pierwotnej, atomicznej jednostki...“

KSIĄŻKI.

(t. s.) Michał Janik: „Najnowsza poezja polska“. Studium literackie. Złoczów 1902.

Autor, idąc może za — niewiem czy szczęśliwym — przykładem Chmielowskiego w jego „Zarysie“, podzielił swą rozprawkę na dwie części: w początkowej zajął się genezą i charakterystyką „nowych“ prądów, następną zaś poświęcił wyłącznie sylwetkom i profilom wybitniejszych talentów ostatniej doby. Właściwie szczególnie zajmować nas musi część pierwsza, jako ogólniejsza, na szerokie, o syntezę pewną zatrącające ramy nałożona. Kreśli tu autor najpierw charakterystyczne rysy duszy współczesnej, by z nich potem wyprowadzić charakterystykę poezji nowej w ogóle, a polskiej w szczególności, i poprzeć ją postulatami i poglądami nowej estetyki, wyłożonej za pomocą cytów za dość powszechnie znanych artykułów Miriama i Przybyszewskiego.

Niewątpliwie nie można autorowi odmówić pewnego rodzaju sumiennej dbałości, z jaką wypowiada swe sądy, starając się nawet o głębsze ugruntowanie w przeobrażeniach filozoficznych pojęć przeszłego wieku (ustęp o Nietzschem, dość zresztą maruy) — dbałość ta jednak nie wystarcza do obrazu, nie powiem wyczerpującego, bo po temu miejsce za szczupłe, ale jako tako do prawdy, chociażby indywidualnie oświetlonej przybliżonego.

Autor nie zespolił się ze swym przedmiotem, nie żył się z nim dobrze. Pomijam pewne szczególności, jak np. parokrotne powoływanie się na poezję parnasu francuskiego, jako należąca do nowych kierunków, gdy, jak wiadomo powszechnie, parnas w poezji był tylko analogia naturalizmu w powieści, więc wciąganie go w zakres reakcji przeciw-naturalistycznej jest co najmniej niedokładnością. Ważniejsze luki upatruję w pewnego rodzaju bezładzie nagroma-

dzonych cech, nazwisk, etc., wreszcie w owej — jak mi się wydaje przez autora zupełnie niewłaściwie podzielanej utartej opinii o duszy współczesnej — jako do ena zatrutej, jadami bagien zapełnionej — opinii, z której należałoby już raz się wyzwolić.

Na tę duszę, jak o tem napomyka autor mimochodem, składają się „tysiące dążeń i wierzeń, które trudno zupełnie przejrzeć przedstawić i zre-asumować...”

Tak — zapewne. Bo w rozlewności swej bujnej wyszła ona dawno już po za granice sztuki narcotycznych haszyszy, „przesyconych zgnilizną“ kwiatów etc. i objęła szerszy płac życia — o czem autor nie zdaje się wiedzieć.

Innego rodzaju rzeczy wytknąłoby można w drugiej części książeczki. Należało się spodziewać, że znajdziemy tu poetów, zespolonych nie tylko chronologicznem współistnieniem, ale i czemś istotniejszym, co tworzyłoby z nich grupę charakterystyczną dla współczesnych dążeń twórczych.

Tymczasem kogoż tu spotykamy? Najpierw Konopnicką, — która jest talentem bezsprzecznie wybitnym, — jak autor nawet twierdzi — największym, ale niemniej talentem z innego świata, który do zilustrowania nowej twórczości niczem się chyba nie przyczynia. Tuż po niej, z rosnącym już zdziwieniem natrafiamy na Wierzbickiego, poetę dość średniego, a już zupełnie nie przedstawiającego, — a nieco dalej — Or-Ota. Brakuje jeszcze chyba Gomulickiego. Co prawda jest Kasprowiez, Lange, Tetmajer, Żuławski, Miriam, Wyspiański, ale naprózno byśmy oczyszczyli za Staffem, Mirandollą, Micińskim, Perzyńskim, wreszcie w pewnej mierze zamiennym Sterlingiem, którego przecież i p. Chmielowski nie omija. Powstaje stąd rozdział jeszcze dalszy: oto widzimy, że wszyscy ci poeci tak na ogół wzięci nie przystają ani do skreślonej w pierwszej połowie sylwetki duszy nowoczesnej, ani do podanych tam teorii estetycznych. Część druga mająca być naoczniem, dopełniającą ilustracją części pierwszej dziełka, w istocie z nią się rozchodzi, jako zupełnie niedopasowana.

Ale to już może wina nie tylko nieszczęśliwego doboru talentów — lecz i głębszych przyczyn, zawartych wogóle w różnorodności wylewów twórczych duszy współczesnego okresu. Tyle w zasadniczych punktach miałem do powiedzenia o książce p. Janika. Przyznaję — brałem ją do ręki, spodziewając się wymyślać, — zamiast nich znalazłem omyłki i niedokładności, obok tego zaś rzeczywistą chęć i staranie o powagę i obiektywność sądu — co gdy chodzi o młodą literaturę, jest zaletą niemałą.

PISMA.

(w. s.) „Die Musik“. Rocznik II. zes. 2. Ruchliwe to pismo, które odrazu zdobyło kilka tysięcy prenumeratorów, przynosi w ostatnim zeszytynie studium dra Waltera Niemanna o muzyce neorosyjskiej. Dargomyzskij (†1869) i Serow byli tymi, którzy wprowadzili do Rosyi Berlioza i Wagnera. Oprócz tej szkoły modernistycznej jest tam grupa kompozytorów t. z.

Occidentalistów, hołdujących romantycznej muzyce Schumanna. Czajkowskij ich mistrzem. Muzyka narodowa, pielęgnując tradycję Glinki, zawdzięcza swój wzrost, pięciu nowatorom, do których należą: Borodin, Bałakirew, Cui, Moussorgsky i Rymuskij-Korsakow. Ci czerpią tematy z muzyki liturgicznej lub fantastycznych pieśni Wschodu i południowych narodów słowiańskich. (R. Korsakow: „La grande Pâque-Russe“ — „Szeherazada“ — „Fantazyja na temat pieśni serbskich). Melancholijne kompozycje młodo-rosyjskiej muzyki odznaczają się szczerością, wybitną rytmiką, choć ich mozaikowa forma brzmii nam nieraz dziwnie. Frazeologią muzyczną organicznie ze sobą powiązanych motywów zastępuje ludowa melodyjka. (Dziś ludowy = stylowy!) Chopin odzywa się w nich dominująco. — Th. Unger w rozwekłej rozprawie zastanawia się nad akustyką sali koncertowej w myśl intencji p. Marsopa, który niedawno ze znaną swadą gawędziarską omawiał warunki muzycznej sali przyszłości, chcąc dostroić wszelkie jej szczegóły do ekspresji tonów. Unger przytacza mnóstwo faktów i znanych praw z fizyki, fizjologii i t. d. tylko ...najmniej mówi o architektonice akustycznej sali, mimo że chce, „dass die Geduld des Lesers nicht ...auf die Probe gestellt werde!“ Mamy jeszcze artykuł o Franciszku Kuglerze, bogatym kompozytorze pieśni i profil biograficzny dra W. Altmanna o Edwardzie Lalo. Z olbrzymich zapisków tego pisma dowiadujemy się, że Marcela Semblich koncertowała ze sukcesem w Chicago, Leopold Godowski w Magdeburgu a Z. Stojowski grał w Monachium „nicht disponiert“. O ruchu muzycznym Lwowa informuje dr. N. Hermelin.

(w. s.) „Die Rheinlande“. Rocznik III. zes. 2. zamieszcza wspomnienia A. Frey'a o Arnoldzie Böcklinie. Ten skrajny subiektywista w sądach swoich bardzo nieprzychylnie wyrażał się o krytyce. Oddzielał ją zasadniczo od pracy twórczej, a nawet uważał ją za szkodliwą dla sztuki. Możliwość tworzenia była dla niego jedynym kryterium wartości estetycznej. W oryginalnych swoich dziełach zespolił śmiało kolorystykę z bujną fantazyją. Twórca „Toteninsel“ uwielbiał Grünewalda i Rubensa. Potem o cinquecentystach wyrażał się lekceważąco. Michel-angelo nie umiał, wedle niego malować. Umiał ocenić Dürera i Holbeina; Rembrandta w technice malarskiej nie znosił! Dziwnym był stosunek Böcklina do Jakóba Burekhardta, który Böcklina nie uznawał. Nie wierzył w jego twórczość. Bez względu na istotną wartość dzieł Böcklina, autor tego szkicu trafnie zauważa, że krytycy i historycy kultury za dużo mają wzorków w głowie! Nie dbając o możliwość podobieństwa, usiłują dzieła współczesnych sprowadzać do reprodukcji wielkich poprzedników. W. Schäfer omawia mosty nadreńskie i ich stylowe konstrukcje żelazne, których pierwszym twórcą był Abraham Darby. Oprócz pogadanki o „rokokowem“ mieście Würzburgu, reszta rzeczy imponuje — banalnością, jak n. p. jakaś nowela z rodzaju „familijnych powiastek“. H. Kromer chciał powiedzieć coś nowego, więc upatruje w „typowości“ odrodzenie malarstwa. W. Steinhausen powiedział, że „każda sztuka to przypominanie“. Zapomniał tylko dodać... epigonów Böcklina! Dodatek przynosi marsz pogrzebowy M. Schillinga, interesująco swoją harmoniką.